

Praca za pieniądze

Od czasu do czasu, tacy wrażliwi artyści jak ja ściągają na swoje głowy gniew bardziej pragmatycznych fotografów i czuję, że dzisiejszy temat wywoła właśnie taką reakcję. Zamierzam napisać o tym, jak to pieniądze wpływają na naszą twórczość.

Od czasu do czasu, tacy wrażliwi artyści jak ja ściągają na swoje głowy gniew bardziej pragmatycznych fotografów i czuję, że dzisiejszy temat wywoła właśnie taką reakcję. Zamierzam napisać o tym, jak to pieniądze wpływają na naszą twórczość.

Część z was zauważyła, że w zeszłym tygodniu poprosiłem o skromny datek, który podtrzyma ten felieton przy życiu (ominęło to polskich czytelników, ale głównie z powodów logistycznych). Dla jasności - prosiłem o 53 centy. (Ostrzegam, że na końcu tego felietonu znów ściągnę z was kasę.) Nie mam pojęcia, ile osób co tydzień czyta ten felieton, a nawet gdybym wiedział, to nie sposób stwierdzić, jaki procent *dobrowolnie* zgodziłby się za niego płacić. Problem wygląda tak, że jeśli nie będę za to dostawał pieniędzy, nie będę mógł pisać.

Zanim zdecydowałem się na rozwiązanie z dobrowolną darowizną (no cóż, na razie nic się nie "rozwiązało", ale wiecie, o co mi chodzi), zapytałem właścicieli stron, które publikują felieton, czy mogliby mi płacić. To porządni goście i wszyscy się zgodzili. Nie szukam z żadnym z nich zwady i nie chcę nikogo wprawić w zakłopotanie tym, co za chwilę napiszę. Tyle że jeden z nich powiedział: "Mogę ci płacić za felieton, ale będziesz musiał więcej pytać o...".

Całkiem rozsądna prośba, prawda? Facet za coś płaci, więc chce mieć coś do powiedzenia w sprawie towaru, który kupuje. To zupełnie zrozumiałe, bez niedomówień i na dodatek sensowne. Nikogo nie krytykuję.

Tyle że napisałem już siedemdziesiąt felietonów (jeśli się nie mylę, ten jest siedemdziesiąty pierwszy) między innymi dlatego, że lubię sam wybierać temat i pisać, cokolwiek zechcę. To kwestia wolności, ale w pewnym sensie też wygody - zdarza się, że nie mam czasu usiąść do felietonu i wtedy nic nie piszę; czasem bardzo się przykładam, a czasem, wstyd się przyznać, lecę po łebkach. Ale *głównie* chodzi o wolność wyboru. Żaden z webmasterów, którzy publikują felieton *nigdy* nie mówili mi, co mam pisać i żaden przedstawiciel przemysłu fotograficznego nie ma najmniejszego wpływu na to, co piszę i jak piszę. I to mi się właśnie podoba. Uważam też, że, biorąc pod uwagę aktualną kondycję dziennikarstwa, to wartościowy układ,. Niewiele osób zachowało ostatnio taką niezależność, zwłaszcza jeśli chodzi o słowo drukowane.

Pamiętajcie, że często pracuję na zlecenie - broszury, reklamy, w zasadzie wszystko - i bardzo chętnie piszę to, czego chcą klienci. Ale to oni płacą i to całkiem sporo. Z fotografią jest inaczej. To moja miłość.

Mam nadzieję, że prośba o datki załatwi sprawę. Kliknijcie link na końcu felietonu i odwiedźcie zgrabniutką nową podstronę "Fotografa niedzielnego" na mojej stronie - jak zwykle wykonała ją Stephanie Graffuis-Cain z Imagine96. (Oczywiście przepraszam za kiepski dowcip.)

Czy warto sprzedawać duszę diabłu? Może się jeszcze kiedyś przydać...

Po raz pierwszy zetknąłem się z problemem "pracy za kasę" w latach 80-tych, kiedy robiłem portrety. (To tu zaczynam grać na nerwach zaprawionych w bojach zawodowców - przygotujcie się.) Prowadziłem kursy, przygotowujące do egzaminów na studia i, bardziej dla zabawy niż z

innego powodu, zacząłem prosić uczniów, żeby mi pozwali. Problem w tym, że efekty naszej współpracy tak się podobały, że już wkrótce wszyscy uczniowie zaczęli do mnie przychodzić i prosić o wykonanie portretu.



Nie umiałem odmówić (miałbym mieć chyba serce z kamienia, prawda?), ale z czasem cały interes stawał się kosztowny. Doszedłem do wniosku, że muszę jakoś pokryć koszty i zacząłem sobie liczyć 95 dolarów za portret.

Prosta sprawa? Nie tak szybko...

Teoretycznie nic nie powinno się zmienić. A jednak zmieniło się wszystko. Nagle straciłem kontrolę - matki dzieciaków mówiły mi, co mam robić i teraz to one decydowały, w co ubrane były ich pociechy i gdzie je fotografowałem. Musiałem zacząć przygotowywać odbitki robocze, bo oczywiście nie życzyły sobie, żebym to ja wybierał najlepsze ujęcie.

Pozornie różnica jest niewielka, ale dla mnie zmieniło się wszystko. Przestałem być artystą, a stałem się zawodowcem do wynajęcia (nie używam słowa "artysta", żeby zadzierać nosa - w tamtym czasie byłem świeżo po szkole sztuk pięknych i po prostu pracowałem jak artysta miałem wolność wyboru).

Nie zamierzam też nikogo oceniać. Nie ma nic złego w byciu zawodowcem do wynajęcia. To po prostu inna para kaloszy - zupełnie inne metody pracy, inne podejście.

Ciekawa była reakcja dzieciaków, kiedy się dowiedziały, że każę sobie płacić. Jeden z uczniów był oburzony i zrobił mi wykład o tym, jak to na nich "żeruję" i "koszę szmal" (chciałbym!) i że prawie 100 dolarów to oburzająco wysoka cena, jak za marny portret. Na drugim końcu ekstremum była pewna dziewczyna (córka gwiazdy telewizyjnej, która zarabiała rocznie miliony dolarów), która nie chciała płacić *tak mało*. Zamiast tego, wynajęła najmodniejszego fotografa w mieście za kilkakrotnie wyższą sumę niż ta, której ja zażądałem. A potem poprosiła, żebym dał jej kilka odbitek, żeby mogła je zanieść do tego supermodnego studia i kazać zawodowcowi zrobić takie zdjęcia, jak moje!

Kiedy zaczyna się brać za coś pieniądze, nie można sobie pozwolić na obsuwę. Jak fotografujecie dla siebie, możecie sobie pozwolić na każdy najgłupszy eksperyment jaki wam przyjdzie do głowy. Jeśli się nie powiedzie, to nic wielkiego się nie dzieje - wzduszcacie ramionami i macie nadzieję, że może następnym razem uda się stworzyć coś magicznego. Ale kiedy ktoś wam za to płaci, nie możecie dać ciała. Stajecie się... no cóż - mogę mówić tylko za siebie, więc powiem tylko, że *ja* stałem się bardziej uważny i konserwatywny. Rzadziej ryzykowałem i zawsze starałem się zabezpieczyć tyły.

Jednak najgorzej zniósłem to, że teraz zdjęcia musiały się podobać komuś innemu niż przedtem. Kiedy klient reżyseruje sesję i wybiera zdjęcia, to *jego* gust jest najważniejszy. Jeśli interesuje was coś zupełnie innego, to macie pecha, chyba że uda wam się wcisnąć takie fotki ukradkiem.

Czas na mój ulubiony przykład. Przez pewien czas pracowałem w szkolnictwie publicznym - na pół etatu jako asystent fotografa. Robiliśmy zdjęcia do najróżniejszych broszur, ulotek i innych publikacji. Nikt nam nigdy tego nie powiedział, ale władze interesowała głównie propaganda, a nie dokument. Chcieli, żeby szkoły wyglądały przyjaźnie, schludnie, bogato i na jak najbardziej zintegrowane.

Zdarzało się, że szedłem pod prąd. Fotografowałem dziewczynę, siedzącą na ławce w płaszczu (wyglądało na to, że w szkołach jest zimno, bo nie grzeją) albo umieszczałem na zdjęciu żaluzje (zabronione - goście od PR'u uważali, że kojarzą się ze speluną z czarnego kryminału). Oczywiście nieobecny wzrok i wyraz niezadowolenia, malujący się na twarzy uczniów także nie wchodziły w grę.

Mimo to ciągle próbowałem. Pewnego razu zrobiłem wspaniałe zdjęcie (tak przynajmniej uważałem) czarnego chłopca, grającego ołówkami na perkusji. Grał naprawdę świetnie, ale widać było, że tylko się wygłupia. Na jego twarzy malował się wyraz uniesienia. Całe jego ciało emanowało radością. Nie udało mi się teraz znaleźć tej odbitki, ale fotka była na tyle dobra, że wyobrażałem ją już sobie na okładce jakiejś publikacji ministerstwa edukacji. Byłem pewny, że goście z PR'u będą zachwyceni.

Nieźle się zdziwiłem, kiedy zdjęcie zostało od razu odrzucone. Dlaczego? "Fotografia ucznia, grającego na perkusji ołówkami sugeruje, że szkoły nie stać na pałeczki". Co jest?!? Pałeczki leżą na krześle tuż obok niego i doskonale je widać na zdjęciu. Nie dali się przekonać. Kazali mi wrócić i zrobić "to samo zdjęcie", tylko żeby uczeń miał w rękach pałeczki.

Kasa, liczy się tylko kasa

Skończyło się na tym, że zacząłem sobie słono liczyć za portrety, które z resztą także coraz bardziej zaczęły przypominać zdjęcia, za które można by zapłacić taką kasę. Zacząłem od prostych, stonowanych, czarno-białych portretów małym obrazkiem ludzi w ich naturalnym otoczeniu i nieformalnym stroju, a pięć lat później fotografowałem średnim formatem, w kolorze i w studio, a modele byli wystrojeni od stóp do głów.

Oddajmy głos Jerry'emu Seinfeldowi: "Oczywiście nie ma w tym *nic złego!*". Po prostu nie było to coś, co chciałem robić. (Skąd to studio? To proste - kiedy każecie sobie płacić co najmniej 675 dolarów za portret, nie można polegać na czymś równie kapryśnym, jak *słońce* .)

Niektórzy mają na tyle twardego charakter i silną wolę albo są wystarczająco uparci, żeby "robić swoje" niezależnie od okoliczności. Elliot Erwitt, który moim zdaniem jest jednym z kilkunastu najlepszych fotografów dwudziestego wieku - a może i wszechczasów - często wykonywał komercyjne zlecenia, ale efekty były nierozróżnialne od zdjęć, które robił dla siebie. Z tego, co widzę nie robi mu to żadnej różnicy, niezależnie od tego, czy fotografuje dla agencji reklamowej, czy robi zabawne fotki śmiesznych psiaków.

Większość z nas ma za małe jaja na coś takiego. Jeśli ktoś chce nam zapłacić za coś mnóstwo kasy, przestajemy być pewnymi siebie fotografami, którzy wierzą w swoje umiejętności, a stajemy się zaślinionymi, tchórzliwymi lizusami. (No dobra - znowu piszę o sobie. Przypominam więc, że mówię tylko za siebie.)



Pewnie się powtarzam, ale moim zdaniem rodzaj fotografii, który "uprawiamy" to nie tylko zdjęcia, które najbardziej nam się podobają, ale też metody pracy, które nam odpowiadają. Idąc tym tropem, uświadomiłem sobie, że co prawda *lubię* styl fotoreporterski, fotografie zrobione w biegu, ale czuję się niepewnie, robiąc takie zdjęcia. Znacznie lepiej mi się pracuje, kiedy mam na to pozwolenie. Dobrze, że w końcu to do mnie dotarło - dzięki temu moje zdjęcia stały się lepsze. A jeśli chodzi o portrety, to zdecydowanie wolę, kiedy ktoś zgodził się pozować za darmo albo jeśli płacę mu niewielką sumę za poświęcony mi czas. Zmieńmy kierunek przepływu pieniędzy (nawet jeśli to bardzo cienki strumyczek), a wszystko się zmienia - może to i korzystne dla mojego portfela, ale na pewno nie dla mojej sztuki.

Pieniądze to nie wszystko

Sprawa wygląda następująco: dalej będę pisał "Fotografa niedzielnego", ale tylko tak długo, jak długo będę mógł pisać o wszystkim, co zechcę i wszystko, co zechcę. Jestem egoistą, wiem, ale też pragmatykiem. Gdybym musiał co tydzień pisać na zadany temat, obawiam się, że szybko straciłbym zapał. Nie zawsze mam rację i czasem pewnie przynudzam; gdybyśmy zrobili ankietę, okazałoby się, że nie zawsze piszę o tym, o czym większość ludzi chciałaby czytać. Mimo to uważam, że wolność wyboru i niezależność są bezcenne. Jeśli wszyscy zgodzicie się zapłacić kilka centów, mój portfel nieco się wypełni, a ja nadal będę mógł być niezależny. Powinno się sprawdzić, prawda?

A co z tymi portretami, które kiedyś robiłem? No cóż, w końcu dostałem to, o co się prosiłem. Pewnego dnia, zupełnie niespodziewanie zadzwoniła do mnie pani kurator z pewnego muzeum. Spodobały jej się moje portrety - te wczesne, robione małym obrazkiem w czerni i bieli. Pytała, czy robiłem ostatnio podobne zdjęcia. Nie miałem jej co pokazać.

Jak mawiają starzy górale: "zdarza się". Zasłużyłem sobie na to. Powinienem był trzymać się tego, co lubię robić.

[Mike Johnston](#)